

— Zacznijmy od czegoś prostszego. Dziwne: wiem, że ryzykowałam dla mnie życie, a ja nie mam pojęcia, jaki jest twój ulubiony kolor.

Uśmiecham się półgębkiem.

— Zielony. A twój?

— Pomarańczowy — odpowiada.

— Poważnie? — dziwię się. — Taki jak włosy Effie?

— Nieco bardziej stonowany — precyzuje. — Bardziej w odcieniu... zachodzącego słońca.

Zachód słońca. Natychmiast wyobrażam sobie obrzeże słońca znikającego za horyzontem, widzę niebo przesycone delikatnymi odcieniami pomarańczowej barwy. Piękny widok. Przypominam sobie ciastko z lilią tygrysią i teraz, gdy Peeta znowu ze mną rozmawia, z trudem powstrzymuję się przed opowiedzeniem mu całej historii o prezydencie. Haymitch z pewnością nie chciał-

by, żebym wspominała o tym zdarzeniu. Wolę ograniczyć się do gadki o niczym.

— Wszyscy ciągle zachwycają się twoimi obrazami — zmieniam temat. — Szkoda, że nigdy ich nie widziałam.

— Zabrałem cały wagon. — Wstaje i wyciąga ku mnie rękę. — Chodź.

Miło jest czuć jego palce ponownie splecione z moimi, i to nie na pokaz, ale ze szczerzej sympatii. Wracamy do wagonu ramię w ramię.

— Przede wszystkim muszę przeprosić Effie — przypominam sobie przed drzwiami.

— Podlizuj się, ile wlezie — radzi mi Peeta.

Kiedy wchodzimy do wagonu restauracyjnego, w którym śniadanie trwa w najlepsze, wygłaszam długie i zbyt kwieciste przeprosiny. Zdaniem Effie to pewnie absolutne minimum za pogwałcenie etykiety. Muszę przyznać, że wielkodusznie akceptuje moje słowa i zwała wszystko na karb silnego stresu, który mnie nie opuszcza. Jej uwagi na temat konieczności przestrzegania grafiku przez choćby jedną osobę trwają zaledwie koło pięciu minut. Aż trudno uwierzyć, że tak łatwo się wywinęłam.

Kiedy Effie kończy przemowę, Peeta prowadzi mnie przez kilka wagonów, żeby pokazać mi obrazy. Sama nie wiem, czego się spodziewałam, może większych wersji ciasteczek z kwiatkami. Moim oczom ukazuje się coś zupełnie nieoczekiwanego. Peeta namalował igrzyska.

Dla kogoś, kto nie był z nim na arenie, na pierwszy rzut oka nie byłoby to oczywiste. Woda kapiąca przez szczeliny w naszej jaskini. Dno wyschniętego stawu. Dłonie Peety wygrzebujące korzenie. Inne obrazy wydają się oczywiste dla każdego. Złota konstrukcja, zwana Rogiem Obfitości. Clove zajęta układaniem noży pod kurtką. Jeden ze zmiechów, jasnowłosa i zielonooka, czyli niewątpliwie Glimmer, warcząc, kieruje się prosto na nas. Na obrazach widzę także siebie, jestem właściwie wszędzie: wysoko na drzewie, trzępię koszulą o kamienie w strumieniu,

leżę nieprzytomna w kałuży krwi. Jest jeszcze jeden portret, który trudno mi dopasować do sytuacji. Chyba tak widział mnie Peeta, kiedy dostał wysokiej gorączki: wylaniam się ze srebrzystoszarej mgły, która idealnie pasuje do koloru moich oczu.

— Co ty na to? — dopytuje się Peeta.

— Koszmar — odpowiadam. Niemal wyczuwam krew, brud, nienaturalny zapach z ust zmiecha. — Nic innego nie robię, tylko staram się zapomnieć o arenie, a ty przywracasz ją do życia. Jak ci się udało zapamiętać te wszystkie szczegóły?

— Widzę je każdej nocy — wyjaśnia krótko.

Dobrze wiem, co ma na myśli. Koszmary, które i tak miewałam przed igrzyskami, teraz bez przerwy mnie dręczą, rzadko jednak zdarza się, bym widziała w nich ojca rozrywanego na strzępy podczas wybuchu w kopalni. Od zakończenia turnieju ciągle przeżywam go na nowo. Na próżno usiłuję ratować Rue. Peeta wykrwawia się na śmierć. Rozdęte ciało Glimmer rozpada mi się w rękach. Upiorny koniec Catona osaczonego przez mutanty — oto moje najczęstsze sny.

— Ja też — wzdycham. — Malowanie pomaga?

— Sam nie wiem. Chyba trochę mniej się boję zasypiać, a przynajmniej wmawiam to sobie — tłumaczy mi. — Ale wciąż mi się śni.

— Może już zawsze będą, tak jak Haymitchowi. — Haymitch nam tego nie mówił, ale jestem pewna, że właśnie dlatego nie lubi sypiać w ciemnościach.

— Fakt. Ale jeśli o mnie chodzi, wolę się budzić z pędzlem niż z nożem w dłoni. — Spogląda na mnie. — Naprawdę uważasz, że moje prace są koszmarnie?

— Tak. Ale i niezwykle, poważnie — zapewniam go szczerze, jednak nie chcę już oglądać obrazów. — Masz ochotę zerknąć na moje dzieła? Cinna odwalił kawał dobrej roboty.

— Później — śmieje się Peeta. Pociąg rusza, a ja patrzę przez okno na przesuwany się krajobraz. — Chodź, lada moment dotrzemy do Jedenastego Dystryktu. Rzucimy na niego okiem.

Wędrujemy do ostatniego wagonu, pełnego krzesel i kanap. Najfantastyczniejsze jest jednak to, że tylne okna można wsunąć w sufit, więc wychylamy głowy, by podziwiać rozległe przestrzenie. Na ogromnych polach pasą się stada mlecznych krów, okolica w niczym nie przypomina naszych rodzinnych, gęsto zalesionych stron. Nieznacznie zwalniamy i dochodzę do wniosku, że czeka nas następny postój, lecz przed nami wyrasta ogrodzenie, wysokie na ponad dziesięć metrów i zwieńczone groźnymi pierścieniami drutu kolczastego; przy czymś takim siatka w Dwunastym Dystrykcie wydaje się zupełnie nieszkodliwa. Zerkam na fundament ogrodzenia, wzmocniony potężnymi, metalowymi płytami. Pod nimi nie da się zrobić podkopu, tędy nikt się nie wymknie na polowanie. Potem spoglądam na wieże obserwacyjne, równomiernie rozmieszczone i obsadzone uzbrojonymi strażnikami, którzy ani trochę nie pasują do rozległych, kwiecistych łąk.

— Coś nowego — zauważa Peeta.

Rue dała mi do zrozumienia, że w Jedenastym Dystrykcie surowiej przestrzega się zasad, ale nigdy nie wyobrażałam sobie czegoś takiego.

Nadeszła pora zbiorów. Wszędzie jak okiem sięgnąć mężczyźni, kobiety i dzieci w słomkowych kapeluszach prostują się i odwracają w kierunku pociągu, korzystając z chwili wytchnienia, gdy ich mijamy. W oddali dostrzegam sady i zastanawiam się, czy właśnie tam pracowała Rue, wyznaczona do zbierania owoców z najcieńszych gałęzi na wierzchołkach drzew. To tu, to tam wyrastają małe osiedla opuszczonych chatynek, które w porównaniu z domami w Złóżysku wydają się mikroskopijne. Zapewne wszyscy mieszkańcy wyruszyli do pomocy przy zbiorach.

Jedziemy bez końca. Nie mogę uwierzyć, że Jedenasty Dystrykt jest tak ogromny.

— Jak myślisz, ilu ludzi tutaj mieszka? — odzywa się Peeta, a ja kręcę głową. W szkole uczono nas tylko, że to duży dystrykt,

i tyle. Nigdzie nie podawano konkretnych danych na temat liczby mieszkańców. Co roku możemy jednak oglądać w telewizji dzieci zebrane przy okazji dożynek. To na pewno tylko cząstka tych, które tutaj żyją. Jak wygląda procedura? Czy są organizowane wstępne losowania? Czy zwycięzców wyznacza się z góry i kieruje do udziału w uroczystości? Jak to się stało, że Rue trafiła na scenę i nie znalazł się nikt, kto zechciałby zająć jej miejsce?

Wielka przestrzeń zaczyna mnie męczyć, więc nie protestuję, gdy przychodzi Effie i każe nam się ubierać. Wracam do przedziału i oddaję się w ręce ekipy przygotowawczej, która szykuje mi fryzurę i makijaż. Cinna przynosi ładną pomarańczową sukienkę z tkaniny ze wzorem w jesienne liście. Myślę o tym, że Peecie spodoba się ten kolor.

Effie spotyka się z nami i po raz ostatni omawia program dnia. W niektórych dystryktach zwycięzcy objeżdżają miasto przy wtórze wiwatujących tłumów, w Jedenastce jednak publiczne wystąpienie ogranicza się do placu, może dlatego, że przy tak małej gęstości zaludnienia trudno tutaj o prawdziwe miasto. Niewykluczone też, że podczas zbiorów władze nie chcą odrywać ludzi od pracy. Wystąpimy przed lokalnym Pałacem Sprawiedliwości, dużą budowlą z marmuru, która niegdyś z pewnością zachwycała urodą, lecz czas odcisnął na niej swoje piętno. Nawet w telewizji widać częściowo zapadnięty dach oraz bluszcz porastający sypiącą się fasadę. Plac otaczają wystawy zapuszczonych sklepów, w większości pustych. Tu na pewno nie ma żadnych rezydencji zamożnych mieszkańców Jedenastego Dystryktu.

Cały nasz publiczny występ odbędzie się na wyłożonym kafelkami, przestronnym tarasie, jak to miejsce nazywa Effie, pomiędzy frontowym wejściem a schodami, pod dachem opartym na kolumnach. Peeta i ja zostaniemy oficjalnie przedstawieni, potem burmistrz Jedenastki odczyta przemówienie na naszą cześć, a my zrewanżujemy się podziękowaniami dostarczonymi przez Ka-

pitol. Jeżeli zwycięzca miał sprzymierzeńców w gronie zabitych trybutów, może dodać kilka słów od siebie, gdyż należy to do dobrego tonu. Powinam napomknąć o Rue, a także o Threshu, ale za każdym razem, gdy próbowałam coś napisać w domu, tylko gapiłam się na pustą kartkę papieru. Trudno wspominać ich bez emocji. Na szczęście Peeta coś przygotował, po wprowadzeniu drobnych zmian może to powiedzieć w imieniu nas obojga. Na koniec ceremonii otrzymamy okolicznościowe tabliczki i przejdziemy do Pałacu Sprawiedliwości na uroczystą kolację.

Pociąg wjeżdża na dworzec, a Cinna wprowadza ostatnie poprawki do mojego stroju. Zmienia pomarańczową wstążkę do włosów na metalizującą złotą, a także przypina mi broszkę z kosogłosem, tę samą, którą nosiłam na arenie. Na peronie brakuje komitetu powitalnego, widzimy tylko oddział ośmiu Strażników Pokoju, którzy kierują nas na tył opancerzonej ciężarówki. Effie posapuje, kiedy drzwi trzaskają za naszymi plecami.

— Coś podobnego. Można by pomyśleć, że jesteśmy bandytami — obrusza się.

Nie chodzi o nas, Effie, myślę. Chodzi tylko o mnie.

Pośpiesznie wprowadzają nas tylnym wejściem do Pałacu Sprawiedliwości. Czuję aromat właśnie przyrządzanej, znakomitej kolacji, który jednak nie jest w stanie zagłuszyć smrodu pleśni i zgnilizny. Nie mamy czasu się rozejrzeć. Kiedy ustawiamy się w kolejce do frontowego wyjścia, słyszę pierwsze dźwięki hymnu odgrywanego na placu, ktoś przypina mi mikrofon, Peeta łapie mnie za rękę. Burmistrz zapowiada nasze przybycie i potężne drzwi otwierają się ze skrzypieniem.

— Szeroki uśmiech! — komenderuje Effie i nas szturcha. Posłusznie idziemy przed siebie.

Teraz, myślę. Nadeszła pora, żebym przekonała wszystkich o tym, jak bardzo kocham Peetę. Uroczystość została zaplanowana do najdrobniejszego szczegółu, więc nie jestem pewna, jak to zrobić. To nie jest odpowiedni moment na pocałunki, lecz mam nadzieję, że uda mi się wcisnąć choć jeden.

Rozbrzmiewają głośne oklaski, ale nie słyszymy innych oznak entuzjazmu, które towarzyszyły nam w Kapitolu, żadnych wiwatów, krzyków ani gwizdów. Idziemy po zadaszonym tarasie, aż w końcu wychodzimy spod dachu i stajemy w intensywnym świetle słońca na szczycie wysokich, marmurowych schodów. Po chwili moje oczy przyzwyczajają się do jasności i widzę, że budynki wokół placu zostały obwieszane wielkimi flagami, które częściowo zakrywają zaniedbane fasady. Na placu tłoczą się widzowie, ale wiem, że to tylko drobna częśćka wszystkich mieszkańców dystryktu.

U podnóża sceny jak zwykle ustawiono specjalny podest dla rodzin zmarłych trybutów. Po stronie Thresha siedzą tylko stara, zgarbiona kobieta oraz wysoka, muskularna dziewczyna. Domyślam się, że to jego siostra. Po stronie Rue... Nie jestem przygotowana na widok jej bliskich. Na twarzach rodziców nadal maluje się świeży ból. Patrząc na piątkę jej młodszego rodzeństwa i zauważam ogromne podobieństwo — wszyscy są smukłej budowy, ich brązowe oczy lśnią. Przypominają stadko małych, ciemnych ptaków.

Brawa cichną i burmistrz wygłasza przemówienie na naszą cześć. Podchodzą dwie dziewczynki z imponującymi bukietami kwiatów, Peeta odczytuje stosowną odpowiedź, a potem dociera do mnie, że machinalnie poruszam ustami, by podsumować wymianę uprzejmości. Na szczęście mama i Prim wyszkoliły mnie tak skutecznie, że potrafiłabym wyrecytować swój tekst nawet obudzona w środku nocy.

Peeta napisał kilka słów od siebie na kartce, ale po nią nie sięga. Woli mówić prostym, dobitnym językiem o Threshu i Rue, o tym jak dotarli do finałowej ósemki i jak oboje ocalili mi życie, tym samym ratując życie jemu. Podkreśla, że nigdy w życiu nie uda nam się spłacić tego długu. Na koniec waha się, lecz dodaje coś, czego nie zanotował na kartce — pewnie z obawy przed Effie, która mogłaby mu kazać to wykreślić.

— Nie umiemy w żaden sposób zrekompensować tej straty, ale w dowód wdzięczności pragnęlibyśmy co roku, do końca życia, przekazywać rodzinom obu trybutów miesięczne wynagrodzenie, które otrzymujemy w ramach nagrody za zwycięstwo w Głodowych Igrzyskach.

Zebrani widzowie zachłystują się z wrażenia i szeptem wymieniają uwagi. Deklaracja Peety jest bezprecedensowa, nawet nie wiem, czy prawo zezwala na takie posunięcie. Peeta zapewne również tego nie wie, więc nikogo nie spytał, na wypadek, gdyby propozycja była nielegalna. Zszokowane rodziny tylko wpatrują się w nas w milczeniu. Po śmierci Thresha i Rue ich życie zmieniło się nieodwracalnie, ale ten podarunek ponownie odmieni ich byt. Comiesięczna nagroda dla zwycięskiego trybuta w zupełności wystarcza na roczne utrzymanie rodziny. Dopóki żyjemy, nie zaznają głodu.

Spoglądam na Peetę, uśmiecha się do mnie smutno. W myślach słyszę głos Haymitcha: „Mogło być znacznie gorzej”. W tej chwili uważam, że nie mogłoby być lepiej. Ten prezent jest... niezrównany. Kiedy więc wspinam się na palce, żeby pocałować Peetę, mój gest nie wydaje się ani trochę wymuszony.

Burmistrz podchodzi i wręcza nam po pamiątkowej tabliczce. Są tak duże, że muszę odłożyć bukiet, aby przyjąć swoją. Uroczystość ma się ku końcowi, kiedy zauważam, że jedna z sióstr Rue wpatruje się we mnie uważnie. Na pewno ma około dziewięciu lat i jest niemal idealną kopią Rue. Nawet kiedy stoi, tak samo lekko wysuwa ręce do przodu. Nie wygląda na zadowoloną, pomimo dobrych wieści o dodatkowych pieniądzach, powiedziałabym nawet, że patrzy na mnie z przyganą. Czy w jej oczach jestem winna, bo nie uratowałam Rue?

Nie, decyduję w myślach. Nadal jej nie podziękowałam, to dlatego.

Robi mi się wstyd, bo ta dziewczynka ma słuszość. Jak mogę stać tutaj, biernie i w milczeniu, nie dodając ani słowa od siebie? Gdybym zginęła, Rue z pewnością uczciłaby moją śmierć. Przy-



pominam sobie, jak na arenie przysypałam ją kwiatami, upewniłam się, że jej śmierć została zauważona. Ten gest zatrze się w ludzkiej pamięci, jeśli go teraz nie wzmocnię.

— Zaraz! — Chwiejnym krokiem wysuwam się naprzód i przyciskam tabliczkę do piersi. Przyznany mi czas na wygłoszenie przemówienia minął, ale muszę coś powiedzieć, zawdzięczę Rue tak wiele. Nawet gdybym przekazała całą wygraną siedzącym przede mną rodzinom, to to i tak nie usprawiedliwiłoby mojego dzisiejszego milczenia. — Bardzo proszę, niech państwo zaczekają. — Nie wiem, od czego zacząć, ale gdy wreszcie otwieram usta, słowa same z nich płyną, zupełnie jakby od dawna kształtowały mi się w głowie. — Pragnę podziękować trybutom z Jedenastego Dystryktu — oświadczam i spoglądam na dwie kobiety z rodziny Thresha. — Tylko raz rozmawiałam z Threshem, ale to wystarczyło, żeby darował mi życie. Nie znałam go, lecz zawsze darzyłam szacunkiem, podziwiałam jego siłę. Imponowało mi, że podczas igrzysk kierował się wyłącznie własnymi zasadami i nie ulegał żadnym wpływom. Zawodowcy od początku chcieli, aby się z nimi sprzymierzył, ale odrzucił ich propozycję. Podjął decyzję godną uznania.

Zgarbiona staruszka, być może babka Thresha, po raz pierwszy podnosi głowę, a na jej ustach dostrzegam cień uśmiechu.

Tłum umilkł. Zapada cisza tak idealna, że aż nieprawdopodobna. Wszyscy z pewnością wstrzymali oddechy. Zwracam się ku rodzinie Rue.

— Czuję jednak, że bliżej poznałam Rue i już na zawsze zostanie mi bliska. Przypomina mi o niej wszystko, co piękne. Widzę ją w żółtych kwiatkach na łące przy moim domu, wśród kosogłosów rozspiewanych na drzewach, ale przede wszystkim odnajduję ją w swojej siostrze Prim. — Nie umiem powstrzymać potoku słów, ale już prawie kończę. — Dziękuję wam za wasze dzieci. — Unoszę brodę i zwracam się do zebranych. — A wszystkim wam dziękuję za chleb.

Stoję nieruchomo, czuję się przygnębiona i słaba, a tysiące oczu wpatrują się we mnie z uwagą. Zapada długotrwała cisza, którą przerywa melodia kosogłosa, cztery nuty zagwizdane przez kogoś w tłumie. Ten sygnał obwieszczał koniec dnia pracy w sadach, a na arenie oznaczał bezpieczeństwo. Melodia jeszcze trwa, kiedy zauważam jej wykonawcę, starca o twarzy pooranej zmarszczkami, ubranego w spłowiełą, czerwoną koszulę i ogrodniczki. Nasze spojrzenia się krzyżują.

To, co dzieje się potem, nie jest przypadkowe, wydaje się zbyt starannie zaaranżowane jak na spontaniczną reakcję. Wszyscy zebrani jednocześnie przyciskają do ust trzy środkowe palce lewej ręki, a następnie wyciągają je ku mnie. To nasz znak z Dwunastego Dystryktu, moje pożegnanie z Rue na arenie.

Gdybym nie rozmawiała wcześniej z prezydentem Snowem, ten symboliczny gest wzruszyłby mnie do łez. Tymczasem ogarnia mnie przerażenie, bo pamiętam jego świeżo wydany rozkaz: mam łagodzić nastroje w dystryktach. Co Snow sobie pomyśli o tym zbiorowym uhonorowaniu dziewczyny, która postawiła się Kapitolowi?

Z całą mocą dociera do mnie sens tego, co zrobiłam. To nie było specjalnie! Chciałam tylko wyrazić wdzięczność, a tymczasem mimowolnie doprowadziłam do bardzo niebezpiecznej sytuacji. Sprowokowałam mieszkańców Jedenastego Dystryktu do otwartego buntu, a przecież właśnie tego miałam unikać!

Zastanawiam się, co powiedzieć, żeby rozładować napięcie, zanegować własne słowa, ale słyszę przyciszony trzask, co oznacza, że wyłączono mi mikrofon, a burmistrz przejął kontrolę nad sytuacją. Ludzie oklaskują nas po raz ostatni i Peeta prowadzi mnie z powrotem do drzwi. Nawet nie podejrzewa, że zdarzyło się coś złego.

Dziwnie się czuję, muszę na chwilę przystanąć. Przed moimi oczami tańczą iskierki słonecznych promieni.

— Wszystko dobrze? — niepokoje się Peeta.

— Kręci mi się w głowie, nic poza tym. Słońce mnie oślepiło — wyjaśniam i spoglądam na jego bukiet. — Zapomniałam kwiatów — mamroczę.

— Pójdę po nie — proponuje Peeta.

— Poradzę sobie.

Gdybym się nie zatrzymała, bylibyśmy już bezpieczni w Pałacu Sprawiedliwości. Gdybym tylko nie zapomniała zabrać kwiatów. Teraz jednak, z głębi tarasu jak na dłoni widzimy całą scenę.

Dwóch Strażników Pokoju ciągnie na szczyt schodów starca, który zagwizdał melodię. Zmuszają go, żeby ukląkł, i na oczach tłumu pakują mu kulę w głowę.